

WALCZ POWSTAŃMY AMAZONKI
BRON RAZEM MIŁOŚĆ
KOCHAJ FEMINISTKI DEMOKRACJA
KŁAMCA MOŻEMY I ZWYCIĘŻYMY
TU BIJE SERCE KRAJU NIE COFNĘ SIĘ PRZED NICZYM
WIELKI KŁÓPOT W MAŁYCH RĘKACH

CHCIELI NAS
WIEM,
NIGDY NIE O
STAWIMY OP
BEZPI
TWÓRZM
WIEZ
CHODZIE Z N
BĄDŹ WŚC

RADYKALNA NADZIEJA

ŹRÓDŁO ODWAGI I SIŁY
W NIEBEZPIECZNYCH CZASACH

POD REDAKCJĄ
CAROLINY DE ROBERTIS

SPAIONA
ZIEMIA

SIŁA

TOLERANCJA
NADZIEJA
NIEWYGODNE
PRAWDY

TAKA JEST NASZA HISTORIA
ZACZYNEM ROZPADU TAM JEST
WYDRAŻONY PRZEZ MRÓWKI KORYTARZ
KAMIEŃ OBRZY
KOALICJA
MYŚLĄCYCH
DUCHOWE
PIĘKNO
ZAKOTWICZA DUSZĘ

WOLNOŚĆ

TROSKA O INNYCH
PO KAŻDEJ NOCY
NASTAJE NOWY DZIEŃ
SŁOWA MAJĄ ZNACZENIE

Ą NASIONA
NIET!
NAMI KIEROWALI
ARŁO
MARZENIE
TYWA
GJA
WOLNA!

MŁCZENIE
SPRZYJA
RASIZMOWI
SIŁA. MURY. WIELKOŚĆ.

WOLNOŚĆ
TROSKA O INNYCH
PO KAŻDEJ NOCY
NASTAJE NOWY DZIEŃ
SŁOWA MAJĄ ZNACZENIE

SYMFONIA NA GŁOSY

Carolina De Robertis

Drogi Czytelniku

Trzy dni po wyborach w 2016 roku usiadłam przy biurku pogrążona w smutku. Nie byłam osamotniona. Tak jak wielu innych (być może jak Ty), nie mogłam spać i zdążyłam już odbyć wiele rozmów – z przyjaciółmi, rodziną, studentami i kolegami, osobiście i za pośrednictwem mediów społecznościowych – na temat wzrostu liczby przestępstw z nienawiści, bólu, cierpienia, przemocy i spustoszenia, którego możemy się spodziewać po tych wyborach.

Przygnębiona myślałam o wielu rzeczach. O wywalczonych z trudem w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat prawach obywatelskich, którym te-

raz znowu grozi niebezpieczeństwo. O wielu społecznościach – imigrantach, ludziach o różnym kolorze skóry, homoseksualistach, transgenderystach, kobietach, muzułmanach, żydach, ludziach wywodzących się ze wszystkich środowisk – które przygotowują się teraz (być może podobnie jak my, bo ja też należę do niektórych z tych społeczności) na nowe ataki ze strony władz. Myślałam o zmianach klimatycznych, o Sądzie Najwyższym. O demokracji. O innych dotkniętych tą zmianą narodach, które nas obserwują. Myślałam o przyszłości bliższej i dalszej.

Myślałam także o siedmioletniej córeczce mojej przyjaciółki, urodzonej w Stanach czarnoskórej dziewczynce, która boi się, że Trump wyrzuci jej rodzinę z kraju. I o czteroletnim synku innej przyjaciółki, który – tak jak moje dzieci – ma dwie mamy i który spytał, czy Trump zniszczy jego rodzinę.

Myślałam o moim synu; urodził się kilka dni po zaprzysiężeniu Obamy na pierwszą kadencję i przez całe życie mieszkał w kraju, gdzie ktoś taki jak Barack Obama – czarnoskóry mieszaniec, dziecko imigrantów – może zostać prezydentem.

Przez wiele miesięcy mój syn zapowiadał, że użyje kung-fu, aby bronić swoich meksykańskich przyjaciół przed Donaldem Trumpem i jego murem. Dziewiątego listopada nie chciał wstać z łóżka i nie poszedł do szkoły, ponieważ, jak oznajmił, nie postawi nogi w kraju, którego prezydentem jest Trump. Nie kierował nim strach. To był bojkot.

Myślałam o słowach mojej czteroletniej córeczki, która mając na myśli Trumpa, ni z tego, ni z owego, wypaliła: „Nie jesteśmy dla niego piękni. Nikt mi tego nie powiedział. Po prostu tak czuję”.

Myślałam o swojej babci, poetce i aktywistce z Urugwaju, która zmarła w okresie dyktatury. Urodzona w Argentynie, wygnana za prezydentury Juana Perona (który, co warto zaznaczyć, nie był dyktatorem, tylko demokratycznie wybranym autokratą), znalazła schronienie w małym, spokojnym Urugwaju – tylko po to, by kilka lat później zobaczyć, jak jej dwie ojczyzny, ta prawdziwa i ta przybrana, padają ofiarą przewrotów wojskowych, jak władzę przejmują w nich rządy terroru spod znaku porwań, tortur i więzień. Nieopublikowane wiersze mojej babci, znalezione w domu po jej śmierci, mówią o głębi smutku, jaki przeżywała.

Nie dane jej było zobaczyć upadków tych dyktatur. Zastanawiałam się, jak zdołała to wszystko przeżyć, przeżyć wewnątrz, jak walczyła w obliczu represji, jakim sposobem zachowała wiarę, co jej pomogło. Nadzieja? Czy udało jej się zachować chociaż jedną jedyną isierkę? Czy mogła sobie wyobrazić, że w 2010 roku dwójka bestialsko torturowanych więźniów politycznych urugwajskiej dyktatury zostanie ukochanym prezydentem i pierwszą damą tego kraju? Że José Mujica i Lucía Topolansky zapoczątkują epokę bezprecedensowej odnowy i postępu? Czy w tej najczarniejszej godzinie mogła sobie wyobrazić tak jasną przyszłość? Czy mogła wiedzieć, że jej nasiona kiełkowały już wtedy, w tych koszmarnych czasach? Co bym jej powiedziała, gdybym mogła cofnąć się w czasie i z nią porozmawiać, i co ona, widząc mnie przy tym biurku, miałaby do powiedzenia mnie?

Tego ranka myślałam również o Tobie, Czytelniku, choć przecież nie znam Cię osobiście. Myślałam o długiej podróży, która czeka Ciebie, mnie i nas wszystkich, i zastanawiałam się, co zrobimy – co możemy, co musimy zrobić – aby wyjść z tego bez szwanku, patrząc w przyszłość, zachowując

zdrowie psychiczne i trzeźwość umysłu, nieugięty upór i zaangażowanie w obliczu grób i ataków na społeczności, wartości i demokrację, które tak sobie cenimy.

Zaprzątnięta tymi pytaniami, spróbowałam nawiązać kontakt z pisarzami i poprosić ich, aby wraz ze mną wzięli udział w czymś, co początkowo wydawało się projektem dziwnym i bardzo mglistym: w stworzeniu zbioru listów miłosnych, które będą naszą odpowiedzią na dzisiejsze czasy.

Listów, ale dlaczego akurat miłosnych?

Esej epistolarny, czyli esej w formie listu, ma wyjątkową moc. Jego niezrównanym przykładem, który zainspirował tę książkę, jest *Zadrzał mój loch. List do mojego bratanka w setną rocznicę emancypacji* Jamesa Baldwina ze zbioru *Następnym razem pożar* wydane w 1963 roku (tego samego, w którym Martin Luther King napisał błyskotliwy, jakże brzemienisty w skutkach esej epistolarny zatytułowany *List z więzienia w Birmingham*). Baldwin w liście adresowanym do bratanka mówi głośno o niesprawiedliwościach zinstytucjonalizowanego

rasizmu, pięknie i godności życia czarnych obywateli i potrzebie zmian społecznych. List jest czuły i jednocześnie analityczny, żarliwy i pełen niuansów, ogólny, a zarazem bardzo osobisty. Baldwin udowodnił, że esej epistolarny, jako forma literacka, jest znakomitym narzędziem do łączenia wnikliwej myśli politycznej z prywatnymi refleksjami, że po mistrzowsku je integruje.

I właśnie tu pojawia się miłość. Miłość jest klejem scalającym sferę polityczną i prywatną, aktywizującym tę pierwszą, a drugiej nadającym kontekst. Dręczące autora myśli są w liście ukierunkowane na potrzebę nawiązania kontaktu z adresatem i właśnie dzięki temu, tej chęci – czy nawet przymusowi – wyjścia poza siebie możemy połączyć tematy społeczne z prywatnymi, z tym, co najbardziej nas dotyczy i jest dla nas najważniejsze. To miłość powoduje, że nie vzdrygamy się i nie cofamy przed długą, jakże trudną podróżą ku sprawiedliwości, to miłość dodaje nam sił, jest naszym kompasem moralnym i mapą.

Słowo „sprzeciw” zaistniało w tym projekcie jako wyraz obrony prawdy przed represją. Moja babcia powiedziałaaby Wam zapewne, że wcale nie

trzeba dyktatora, aby stworzyć atmosferę strachu i zabić wolność słowa. Aby okryć kraj całunem milczenia i cenzury, wystarczy zwykły despota u steru rządów, tyran grożący i zastraszający dziennikarzy (albo była Miss Universe, aktor z *Hamiltona* czy zwykły obywatel). A w takim klimacie można albo siedzieć cicho i żyć w strachu, albo wstać, wyprostować się dumnie i przemówić. Sprzeciw jest werbalnym oporem. Potwierdzeniem tego, co głosimy, naszej wartości. W ustroju demokratycznym jest naszym fundamentalnym prawem. I, co może paradoksalne, ma związek z miłością. Są to dwie uzupełniające się siły. Tam gdzie oczywistą wartością władzy zinstytucjonalizowanej jest dogmat, mówienie o miłości jest aktem sprzeciwu.

Reakcja na moją prośbę oszołomiła mnie swoją szczodrością, głębią, przenikliwością i poczuciem palącej potrzeby. Autorzy, których listy tu zamieszczam – wybitni powieściopisarze, dziennikarze, poeci, działacze i myśliciele polityczni – nie mogli mnie bardziej wzruszyć ani nauczyć mnie większej pokory. Są zbiorowym zwierciadłem tego, dzięki czemu nasze społeczeństwo jest tak silne i

piękne. Choć pochodzą z różnych środowisk i społeczności, choć mając korzenie na całym świecie – w Syrii, Libanie, Meksyku, na Kubie, w Nigerii, Chinach, Japonii, Egipcie, Indiach, Puerto Rico, Iranie, Gwatemali, rdzennej Ameryce Północnej, Rosji, różnych częściach Europy i Afryki – wszyscy oni uważają Stany Zjednoczone za swój dom. Są sąsiadami i działaczami, wykładowcami i artystami, matkami i ojcami, synami i córkami, heteroseksualistami, homoseksualistami i transgenderystami. Żydami, muzułmanami, chrześcijanami i buddystami, ateistami i ludźmi nieprzyznającymi się do żadnego wyznania. Ale przede wszystkim są zatroskanymi obywatelami i członkami społeczności, którzy martwiąc się o swój kraj, czują potrzebę zabrania głosu w służbie sprawiedliwości, odwagi i nadziei.

Ci dzielni, odważni autorzy listów – każdy na swój sposób – oceniają i analizują to, co zabrał nam ten społeczny zwrot, co się zmieniło, a co nie, gdzie teraz jesteśmy, dokąd zmierzamy zarówno w sensie prywatnym, jak i społecznym. Analizują – między innymi – zmagania, zwycięstwa i migracje, które ukształtowały życie i tkankę naszego narodu, piszą o woli przetrwania, dzięki której dalej idą

nawet ci najbardziej zniechęceni i wyczerpani, o głębokiej nauczce, jaką dali nam przodkowie, którzy propagowali pomysłowość w obliczu ubóstwa, otwarcie protestowali przeciwko niewolnictwu lub uprawiali ziemię jak ich dziadowie. Próbują przewidzieć dalsze losy ruchów reformatorskich i Partii Demokratycznej, piszą o czekających nas bataliach politycznych, o cichych, wewnętrznych bitwach o nadzieję i odporność, ukrytą podstawę każdego ruchu walczącego o lepszy świat. Rozprawiają o siłach, dzięki którym możemy być razem, przedstawiają śmiało wizje dla przyszłych pokoleń, kreślą mapy drogowe, by wizje te mogły się ziścić. Piszą o wewnętrznych źródłach paliwa, które – wbrew wszelkim przeciwnościom – pobudza nas do pracy, działania, do marzeń, planowania, pisanie, czytania, mówienia, troszczenia się o innych i kształtowania naszego świata dla dobra ogółu i jednostki oraz dla dobra tych, którzy przyjdą po nas.

Powstanie wiele książek o epoce Trumpa, napisanych z punktu widzenia konkretnego autora, w tym – nie ma co do tego żadnych wątpliwości – wiele cennych. Z niecierpliwością czekam, aż będę mogła je przeczytać i czegoś się z nich nauczyć.

Uważam jednak, że obecne wyzwania wymagają głosu zbiorowego, istnieją bowiem prawdy, które można wyrazić tylko tak – poprzez ich pryzmatyczne rozpowszechnianie. Innymi słowy, żaden solista nie odda w pełni muzyki naszych czasów – tu potrzebna jest symfonia. Symfonia, ponieważ jest wiele prawd, wiele sposobów poznania, wiele perspektyw widzenia i doświadczania, i to właśnie ten oszałamiający wachlarz możliwości daje głosom moc i tworzy naszą koalicję, wciąż niepowstrzymaną i dominującą zarówno w tym kraju, jak i na świecie.

Ułożyłam te listy i eseje w luźno spleciony łuk narracyjny, dzieląc je na trzy części: *Korzenie* zgłębiają historię, która doprowadziła nas tu, gdzie dzisiaj jesteśmy, i zawierają wiele listów zaadresowanych do naszych przodków. *Gałęzie* zwracają się do współczesnych nam ludzi i społeczności – do nieznanego w supermarkecie, osób urodzonych w latach wyżu demograficznego, do przedstawicieli pokolenia milenijnego, do białych, artystów, obrońców rezerwatu Indian Standing Rock – i próbują odpowiedzieć na złożone pytania dnia dzi-

siejszego. I wreszcie *Nasiona*, które spoglądają w przyszłość, przemawiając do nowego pokolenia, do synów, córek, chrześniaków i chrześniaczek, dzieci jeszcze nienarodzonych, spadkobierców tego, co się teraz dzieje.

Mówię, że listy te i eseje są luźno splecione, ponieważ każdy z nich jest mikrokosmosem myśli, w pełni ukształtowanym światem, dlatego można je czytać w dowolnej kolejności lub jako niezależne pojedyncze utwory. Nie ma jednego sposobu. Tematy listów falują własnym rytmem, zazębiając się o siebie i rozbrzmiewając echem. I tak być powinno. Nie ma nasion bez gałęzi, nie ma gałęzi bez korzeni, a te bez nasion nie powstaną.

Nadeszły niebezpieczne czasy. Mimo to nie wszystko jest stracone. Przyszłość pozostaje niezapisana i choć to niełatwe, właśnie my będziemy ją kształtować. Zinstytucjonalizowaną władzę przejęła banda skorumpowanych przywódców, rasistów, mizoginistów i ksenofobów, niekompetentnych szubrawców, którzy chcą zburzyć świątynię naszej demokracji. Powinniśmy stawiać im opór, nieustannie i dopóki się da, aby strzec naszych

wspólnych praw i przyszłości Ziemi. To ciężka praca. Może nas szybko zmęczyć lub sparaliżować rozpaczą. I tu na scenę wydarzeń wkracza ta książka. W zawartych w niej słowach, myślach i głosach, w tym, że jesteśmy razem, jest antidotum na przynębienie. Dlatego zachęcam Was, byście znaleźli na tych kartach to, czego najbardziej potrzebujecie: balsam, ukojenie, sygnał do walki, manifest liryczny, źródło siły, zwierciadło, schronienie, pomocną dłoń, latarnię morską czy pochodnię, która rozświecili Wam drogę.

Nie opuszcza mnie nadzieja, że słowa, które zaraz przeczytacie, podniosą Was na duchu, nakarmią Was, obudzą, otworzą Wam oczy i sprawią, że poczujecie się mniej osamotnieni. Czekają na Was, dadzą Wam schronienie. Są przesyccone nieustraszoną odwagą i głębokimi prawdami o fragmencie wielkiej powieści, którą nazywamy historią ludzkości. Są pieśnią wyśpiewaną na głosy z sercem i intelektualnym zapalem.

Wszystko tu jest. My też tu jesteśmy. I pozostaniemy. Jesteśmy większością, Drogi Czytelniku. Przyszłość należy do nas i poznamy ją razem.

Con mucho amor

Carolina
Oakland, Kalifornia
Dzień Martina Luthera Kinga
16 stycznia 2017

RADYKALNA NADZIEJA

Junot Díaz

Querida Q.

Mam nadzieję, że nawet jeśli nie czujesz się lepiej, to nie jesteś przynajmniej taka zdołowana. W środę, po tym, jak wygrał, wysłałaś mi maila, szukając rady, wyrazów solidarności. *Dziś rano dzwoniły do mnie z płaczem moje dwie młodsze siostry – napisałaś. – Nie miałam im nic do powiedzenia. Byłam zdruzgotana. Co teraz? Mam dalej mówić prawdę, zapędzona do narożnika? Poddać się?*

Odpowiedziałem natychmiast, bo cierpię, widząc, jak Ty, moja *hermana*, jesteś w takiej rozpacz. Próbowałem dodać Ci otuchy, ale prawdę mówiąc, nie wiedziałem, jak to zrobić. Co powiedzieć Tobie, sobie samemu i moim dzieciom chrzestnym,

którym od roku śni się, że ich rodzice zostaną deportowani.

Myślałem o Twoim mailu przez cały dzień, Q., myślałem o nim, prowadząc wieczorne zajęcia. Moi studenci byli w szoku. Kilku mówiło, jak bardzo się boją i czują się zdradzeni. Dwóch się popłakało. Nie jest łatwo pogodzić się z faktem, że połowa głosujących – sąsiedzi, znajomi, rodzina – wybrała z własnej woli na najwyższy urząd w kraju toksycznego mizogina, demagoga i rasistę, który chce uczynić Amerykę wielką, niszcząc prawa obywatelskie – zdobycz ostatnich pięćdziesięciu lat.

Co teraz? – zapytałaś. To samo pytanie zadali mi studenci. Obawiam się, że moja odpowiedź była równie nieprzekonująca jak ta, którą dałem Tobie. I teraz siedzę w środku nocy, próbując jej udzielić ponownie.

Więc co teraz? Po pierwsze i przede wszystkim musimy to wszystko poczuć. Nie odwracając się plecami, nie wpadając w odrętwienie lub cynizm, musimy z całą odwagą doświadczyć poczucia odrzucenia, zagrożenia i strachu, które są wynikiem zwycięstwa Trumpa. Musimy jasno powiedzieć, co straciliśmy: nasze bezpieczeństwo, poczucie przy-

należności, wizję naszego kraju. Musimy w pełni poczuć i opłakać te szkody po to, by nie pogrążyły nas w rozpacz i by można było je naprawić.

I wykonując tę trudną, ale niezbędną robotę, powinniśmy sięgnąć do dawnych rozwiązań, dzięki którym przetrwaliśmy ciemność. Organizujmy się. Twórzmy więzy solidarności. I owszem: walczmy. Żeby nas usłyszano. Żebyśmy byli bezpieczni. Żebyśmy byli wolni.

Dla tych z nas, którzy brali udział w walce, perspektywa jej kontynuacji, po tak dotkliwej klęsce, wydaje się czymś niemożliwym. W takich chwilach nawet *matatana** może uznać, że nie da rady. Ale wierzę, że kiedy minie pierwszy szok, odzyskamy wiarę i energię. Bo spójrzmy prawdzie w oczy: wiedzieliśmy zawsze, że z tym syfem nie uda się łatwo wygrać. Z władzą kolonialną, władzą patriarchalną i władzą kapitalistów trzeba walczyć zawsze i wszędzie, bo ci, którzy ją dzierżą, nigdy sami nie ustąpią. Musimy walczyć dalej, bo inaczej nie będzie dla nas przyszłości – wszystko zostanie skonsumowane. Ci z nas, których przodków trzy-

* Slangowe określenie, oznaczające kobietę, która jest świetna w tym, co robi.

mano w niewoli i karmiono jak zwierzęta, znają tę przyszłość aż za dobrze, bo jest w jakiejś części naszą przeszłością. I wiemy, że dzięki walce, wbrew wszystkim przeciwnościom, ci, którzy nie mieli niczego, nawet prawdziwych imion, zmienili świat. Nasi przodkowie zrobili to, mając bardzo mało, i my, którzy mamy więcej, musimy zrobić to samo. To jest radosne przeznaczenie naszego ludu – zbudować łuk moralnego uniwersum na tak głębokim fundamencie sprawiedliwości, by nigdy nie został zburzony.

Ale choćbyśmy walczyli na całym świecie, nic nam to nie pomoże, jeśli nie będziemy mieć nadziei. Tym, co próbuję kultywować, nie jest ślepy optymizm ani bezmyślny pozytywizm, lecz coś, co filozof Jonathan Lear nazywa radykalną nadzieją. *Ta nadzieja staje się radykalna – pisze Lear – ponieważ jest nakierowana na przyszłe dobro, którego w danej chwili nie da się zrozumieć.* Radykalna nadzieja nie jest czymś, co się ma, ale czymś, co się praktykuje; wymaga elastyczności, otwartości i tego, co Lear określa mianem *perfekcji wyobraźni*. Radykalna nadzieja jest naszą najlepszą bronią przeciwko rozpacz, nawet kiedy rozpacz wydaje się uzasadnio-

na; dzięki niej możesz przetrwać koniec swojego świata. Tylko radykalna nadzieja mogła powołać do istnienia ludzi takich jak my. I wierzę, że pomoże nam stworzyć lepszą, bardziej przyjazną przyszłość.

Mógłbym powiedzieć więcej, Q., ale dość się namądrzałem. Czas stawić czoło temu twardemu nowemu światu, czas wrócić do wielkiego zbożnego dzieła naszego ludu. Ciemność mimo wszystko się rozjaśnia – nadchodzi nowy dzień.

Z wyrazami miłości

J.